

№ 13. Rok XVI.

Dnia 16 (28) Marca 1896 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Niedziela Palmowa w Raguzie.

Niedziela Palmowa w Raguzie.

Wjazd Zbawiciela do Jerozolimy przed spełnieniem wielkiego dzieła odkupienia, stanowi dla całego chrześcijańskiego świata, jedną z najważniejszych religijnych pamiątek i dla tego też niedziela palmowa wszędzie bywa obchodzona ze szczególną uroczystością. I u nas też nikt nie może spojrzeć bez wzruszenia, na te powiązane dłużej lub krócej około jednego głównego pręta gałązki, sokiem wiosennym nabranej wierzby, pokrytej popielatemi kotkami, obok których powiewa puch trzciny wodnej, złocą się drobne nieśmiertelniki i wdzięczą zielone listki borówek; boć to wszystko ma dziś wyobrażać owe liście palmowe, słane niegdyś po drodze na cześć Syna Bożego. Na las tej pierwotnej wiosennej zieleni, spłynie strumień wody święconej i zamienia je we wzniosłą pamiątkę, która znajdzie wszędzie dla siebie pełne odznaczenia miejsce, zarówno w najbogatszym, jak i najuboższem mieszkaniu ludzkim.

Można sobie zatem wyobrazić, do jakich to rozmiarów dochodzić musi wspaniałość obchodu palmowej niedzieli, w takich miejscowościach, gdzie sama natura pod wpływem łagodniejszych warunków klimatycznych, wcześniej budzi się do życia, i przywdziawszy już dawno kwieciste szaty, zamiast prątków wierzbowych i borówek, dostarcza ludziom prawdziwych palm, dla uświęcenia tej wzniosłej uroczystości.

Do jednej z takich należy właśnie miasto Dubrownik w Dalmacyi, zwane przez Niemców i Włochów Raguzą, a przez Turków: Paprownikiem, którego strojnie przybranych mieszkańców, przedstawia nasza dzisiejsza rycina. Założenie Raguzy sięga roku 656, odleglejsza zaś część miasta, zwana powszechnie: Starą Raguzą, wznosi się w tem samym miejscu, gdzie się niegdyś znajdował starożytny Epidataus, zbudowany przez osadników greckich, na lat 489 przed erą chrześcijańską. Otóż zwykle kiedy się zbliża dzień Zmartwychwstania Pańskiego, w owej błogosławionej stronie Dalmacyi południowej, cała przyroda jaśnieje już oddawna czarującym urokiem wiosny. Krzaki róż szeszczą świeżym, zielonym liściem, wśród srebrzysto-popielatych gałązek oliwnych, prześwieca delikatna, blado-żółta barwa pąków, a palmy regularnemi rzędami, porastające górzystą drogę, wiodącą ku klasztorowi San - Giacomo, powiewają świeżymi liśćmi; podczas gdy wszelkie kwiaty pierwotnej wiosny, jako to: fiołki, narcyzy, anemony i dzikie hijacynty, dawno już pookwitały na dolinach. Ażeby poznać cały wdzięk tej cudnej okolicy, przeglądającej się w wiecznie błękitnej toni Adryatyku, najlepiej jest przybyć do Dubrownika w przedwiekanocnej porze.

Rycina nasza przedstawia właśnie wieśniaczki z pobliskich włości z palmami przeznaczonemi do poświęcenia, bądź w starożytnej katedrze, bądź też w kościele św. Błażeja.

Młode kobiety i dziewczęta odznaczają się tu nie tylko rzadką urodą, ale zarazem skromnem i przyzwoitem zachowaniem. Nie porzuciły one dotąd malowniczych strojów swoich prababek, uwiecznionych na płótnie przez dawniejszych malarzy.

Trudno wypowiedzieć jak pięknie wyglądają wszystkie te niewiasty korne, klęczące u stóp ołtarza, wśród blasku

świateł i obłoków kadzideł, na tle których zdają się ponadniemi unosić, poważne postacie kapłanów.

Lud przynosi do poświęcenia nie tylko liście palmowe, ale obok nich także świeże gałązki wawrzynu i prątki oliwne, pokrywające się pączkami, jako godła odwagi i ducha pokonania, z jakimi Odkupiciel świata wjeżdżał w mury Jerozolimy. Wszędzie dokąd zwrócić spojrzenie, napotyka się młodocianą zieloność wiosny, żywe barwy i jasny blask słoneczny. Obok kobiet przeważnie trzymających palmy, wawrzyn i gałązki oliwne, klęczą zatopieni w modlitwie mężczyźni. Są to po większej części rosłe, muskularne postacie, z twarzami pełnemi powagi, a zarazem pewnej butności, doskonale odbijającej od stroju Wschód przypominającego. Barwa ich odzieży bywa zwykle ciemno-czerwona, lub granatowa.

Jako nakrycie głowy służy im tak zwany: saruk, czyli po prostu turban, którego formę przejęli od swych odwiecznych, niepokojących wrogów, wyznawców proroka

LOS Y ADASIA.

przez

Żofię Kłomerską.

(Dalszy ciąg).

— O pewnie, że ze mnie nie będzie nigdy mól książkowy ani żaden gryziopiórek! Każdego uczonego czuć stęchlizną! Każdy ma plecy w kłabek! Co innego taki człowiek, co jeździ konno, co grywa w bilard.. Wiesz, ja się czasem będę przebierał za dzokieję i sam będę jeździł na wyścigach; gdy wrócę do Warszawy, zaprenumeruję sobie taką gazetę, co się nazywa: „Sport” i będę wiedział wszystko co się dzieje na świecie.

Adaś nie lubił teraz chodzić do stajni w Słomieniu. Wiedział, że fornale dotąd się wysmiewali z jego niefortunnych wyścigów i unikał ich widoku zarówno jak widoku Marcina, który śmiejąc się, co przy jego zadartym nosie dawało mu minę niesłychanie komiczną, zapytywał Adasia ile razy go spotkał:

— A co paniczu, kiedy urządzimy tego roku wyścigi? Tomasz gniewał to że Adasiowi przypominano poniesioną klęskę. Miał on siebie za szlachcica, bo w surducie od dzieciństwa chodził i utrzymywał, że nie był wcale pospolicym lokajem ale *lokajem z lokai*. Czując się na tem stanowisku mówił do Adasia:

— Bo ja to zawsze mówiłem, że się Adaś niepotrzebnie z chamami zadaje. I Marcin, to niby furman, ale to nie furman z furmanów! Co mi to za furman, co był kiedyś ogrodnikiem! Ja zawsze mówię, że ten Marcin chamem śmierdzi!

— To też ja wiem, że to wcale co innego porządny dzokiej, a taki tam Marcin.

— O, ho, ho! Ja już widywałem różności na świecie. Od czegoż bym był lokajem z lokai? Jeszczebym chciał dożyć tego czasu jak Adaś wyjdzie na dorosłego pana!

— Jeszcze mam pięć lat szkół — rzekł Adaś — aż mię dreszcz na tę myśl przechodzi.

— Hadukacya to pierwsza rzecz! Choćby kto był najbogatszy, to cóż on znaczy jak hadukacyi niema? Sługiwałem ja już u różnych panów, to już się na tem wszystkiem znam.

Zaraz na początku wakacyi Adaś zaczął pracować nad wielkiem dziełem. Z pomocą bardzo zręcznego stelmacha

postanowił, domowym przemysłem zbudować, fortunkę. Siedział w pracowni stelmacha, rysował, dawał informacje, wskazówki, pilnował dokładności roboty. Pod jego dyktando stanęła nakoniec fortunka w którą Adaś grywał z kim mógł byle na pieniądze. Pewnego dnia grał tak długo z synem jednego z sąsiadów swoich rodziców, który miał nocować w jego pokoju, że pan Bodziecki, wracający w nocy z miasta gdzie jeździł dla interesów, zobaczył późno w nocy światło w pokoju Adasia. Chcąc się przekonać, dlaczego Adaś nie spał jeszcze podszedł cicho pod drzwi i usłyszał następującą rozmowę:

Adaś. Kiedyś przegrał wszystkie pieniądze, to graj ze mną na kwitki. Poczekaj, ja tu mam stare bilety wizytowe, potnę je na kawałki, ty na każdym kawałku napiszesz swoje nazwisko, a każdy kawałek będzie znaczył dziesięć groszy. Potem gdy dostaniesz skąd pieniędzy, to te bilety wykupisz odemnie.

Wicus. Ja bardzo mało dostaję pieniędzy od rodziców i nie wiem skądbym mógł wziąć.

Adaś. A nie daje ci jaka babcia albo ciocia?

Wicus. Nie. (One wiedzą, że mama nie lubi by mi kto pieniądze dawał).

Adaś. A nie mógłbyś sprzedać co takiego, za coby ci dali jakie parę groszy?

Wicus. Nic takiego nie mam.

Adaś. Masz łańcuszek od zegarka. Sprzedaj go jakiemu żydowi a potem powiesz żeś zgubił i koniec!

Wicus. Jakżebym mógł powiedzieć żeś zgubił, kiedy byłbyś sprzedany?

Adaś (śmiejąc się). O, to ty jesteś jeszcze bardzo dziecinny! Przecie łańcuszek jest twój, więc masz prawo go sprzedać.

Wicus. Ale nie mam prawa kłamać.

Adaś. To prawie nie kłamstwo. Sprzedasz łańcuszek, bo masz na to prawo, a powiesz żeś zgubił, żeby ci głowy nie suszyli. Trzeba czasem rodziców naciągnąć dla tego samego, żeby ich nie martwić!

Wicus. Nie namówisz mię do takiego brzydkiego kłamstwa! Będę z tobą grał na kwitki, ale potem się do wszystkiego mamie przyznam i wiem, że mi w końcu da pieniądze.

Adaś (z oburzeniem). Na to się nie zgadzam! Zaraz by z tego wyrosła taka historia, że aż strach! Wszystko by się doniosło do mojego ojca... Oj, niech Bóg broni! My sobie gramy o pieniądze i przecie w tem nic niema złego, ale rodzice by zaraz z tego zrobili wielką awanturę. Możebyś mógł od kogo pożyczyć trochę pieniędzy?

Wicus. A skądże oddam?

Adaś. Może się kiedy odegrasz? Teraz jeszcze źle grasz w fortunkę, ale jak się nauczysz, to będziesz drugich ogrywał. Trzeba, żebyś tu częściej przyjeżdżał, to będziemy sobie grywać. Ja też będę przyjeżdżał z fortunką.

W tej chwili drzwi się otworzyły i pan Bodziecki ukazał się w progu.

— Coście tu robili? — zapytał.

— Rozmawialiśmy sobie — odparł zaczerwieniony Adaś.

— I tak na rozmowie czas pędziliście od samego wieczora?

— Tak tatusiu.

— Czy i Wicus mi to samo potwierdzi?

— Graliśmy także w fortunkę — rzekł Wicus z wyrazem szczerości w oczach.

— O pieniądze?

— Nie, tatusiu, tak sobie tylko!

— Wicusiu, czyście grali o pieniądze?

— Proszę pana, ja na to zapytanie odpowiedzieć nie mogę.

— Nie możesz odpowiedzieć na to zapytanie?

— Niech mi pan daruje, nie mogę.

— Więc nie dowiem się prawdy! — zawołał pan Bodziecki z wielkim żalem w głosie — bo ja Adasiowi już wierzyć nie mogę! Marzyłem o tem, by mieć w synu przyjaciela,

a tymczasem doczekałem się kłamcy, który mię oszukuje i innych namawia do oszukiwania mię! Szczęśliwi twoi rodzice, Wicusiu! Możesz zbłądzić, ale przynajmniej do błędu swego nie dodasz ohydneho kłamstwa!

Pan Bodziecki westchnął ciężko, jak człowiek srodze zraniony i zabrawszy fortunkę wyszedł z pokoju.

Chłopcy zostali jak skamieniali, czerwoni od wstydu, nie wiedzący co począć.

Wicus (po długiej chwili milczenia). Przepraszam cię Adasiu, ja jestem tyle winien co ty, a ty będziesz miał więcej do zniesienia niż ja!

Adaś (wpadając nagle w gniew). Bo pociś ty powiedział, że nie możesz powiedzieć cośmy robili, i że nie możesz powiedzieć czyśmy grali o pieniądze? Tyś tej całej biedy narobił! Teraz ja będę miał piekło w domu! Ja tu nie mam żadnej przyjemności podczas wakacji! Nie chodzę już do stajni, bo mię takie wywłoki, jak ojciec tu trzyma, wcale nie interesują, nie mam co robić, więc sobie wymyśliłem tę fortunkę. Ojciec mi ją teraz zabrał! To się trzeba będzie wściec z nudów! Przecie człowiek po pracy potrzebuje rozrywki! Tyś mi tego całego pasztetu narobił przez twoją głupią odpowiedź!

Wicus. Przepraszam cię, Adasiu, ale inaczej postąpić nie mogłem. Sumienie mi mówi, rodzice mi mówią, że kłamstwo jest ohydną rzeczą. Nie umiem i nie chcę kłamać.

Adaś. O, widzisz go, co mi za święty, co mi za bohater! Nie umie kłamać! Jakby to było coś strasznie trudnego! Jakże ty się w szkołach obejdziesz bez kłamstwa? Przecie od tego są szkoły, żeby kłamać uczyły! Jak nie będziesz umiał naciągać profesora, jak nie będziesz umiał przepisać z jakiej książki a podać za swoje, to ty nigdy szkół nie przejdziesz!

Wicus. Będę próbował.

Adaś. Będzie zawsze z ciebie taki mydłek, co drugim będzie szkodził, a sobie tem nie pomoże. I do tego wszyscy koledzy będą cię nienawidzili!

Wicus. Koledzy też kłamców nie lubią! Idźmy spać! Musimy przyznać, żeśmy źle zrobili grając tak długo, a tyś zrobił gorzej jeszcze, żeś się od razu do wszystkiego ojcu nie przyznał.

Adaś. Nie byłoby nic złego, gdybyś ty mię nie był zdradził.

Wicus. Nie będę już do ciebie mówił ani słowa. Śpijmy! To gadanie do niczego nie prowadzi!

Adaś. Tak, tobie to wszystko nic nie szkodzi! Jeszcze ci się wydaje, żeś sobie bardzo pięknie postąpił! Już ja o tobie słyszałem, że ty się tylko lubisz podlizywać profesorom i za to dostajesz dobre stopnie. Ale takiemu co helfrom łapy liże, to się w końcu urwać musi! I tobie koledzy sprawią kiedy dobrą kąnię! Zobaczysz!

Adaś mówił jeszcze długo. Wicusowi krew się w żyłach hurzyła, ale sobie postanowił nie powiedzieć więcej ani słowa i postanowienia dotrzymał. Dopiero nazajutrz Adaś, który nie miał złego serca, pogodził się z Wicusiem i sam go o przebaczenie prosił.

Koniec wakacji był dla Adasia bardzo smutny. Pan Bodziecki był widocznie nie tylko zagniewany na syna, ale ciężko zmartwiony. Aż pobladł i zmierzniał a Adaś czuł, że zgryzotą największą ojca był właśnie on. Zrobiło się bardzo smutno w Słomienku. Zaciężyla nad domem jakby czarna chmura, tak, że w końcu Adaś pragnął conajprędzej wrócić do Warszawy. Pan Bodziecki nie mówił z nim wcale i zimno go pożegnał. Tylko więc matce Adaś złożył przyrzeczenie, że się uczyć będzie.

Wszakże zarozumiałość, lekkość i lenistwo poprowadziły go inną drogą, niż iść zamierzał. Znowu, jak dawniej, lekceważył sobie naukę, wykrecał się, uczył się aby zbyć, w klasie grał z kolegami w karty, a na to, co mówił profesor, nie uważał. Zaczął dostawać pałkę za pałką, tak, że profesor u którego stał, widział się zmuszonym napisać do pana Bodzieckiego. Nieszczęśliwy ojciec przyjechał i znowu odbyły się sceny wyrzutów z jednej, płaczu z drugiej strony. Mun-

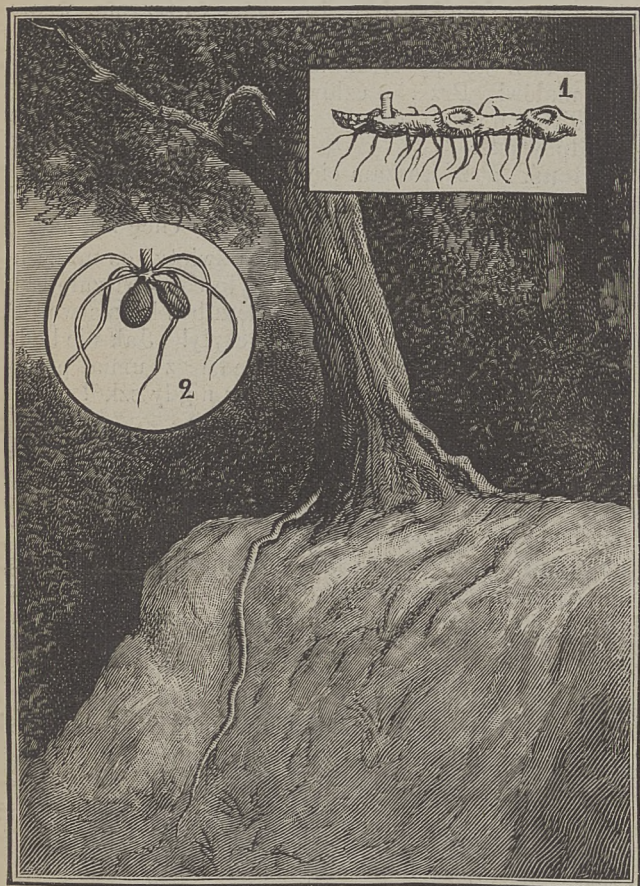
dzio wezwany został do narady i zażądano od niego by Adasiowi nie godzinę, ale trzy godziny poświęcał dziennie, by go uczył jak papugę, by go pilnował jak waryata. Mundzio miał inne korepetycje, ale przez przywiązanie do Adasia rzekł się ich i przychodził codziennie na trzy godziny.

Adaś choć był strapiony i zapłakany, zżymał się na kuratekę w jaką go brano.

— Któż to widział — ozwał się płaczliwie — żeby uczeń czwartej klasy, siedział codziennie przez trzy godziny przy korepetytorze!

Ale taka była wola pana Bodzickiego, który w końcu powiedział:

— Człowiek każdy pracować w jakimkolwiek sposób musi. Taki co nie chce pracować głową, niech pracuje rękami.



Rośliny chodzące.

Oddam cię więc do rzemiosła, jeżeli w tym roku nie dostaniesz promocji. Praca rzemieślnicza jest równie pożyteczna jak praca naukowa. Naznaczę ci ją wtedy wcale nie jako karę, ale jedynie szukając dla ciebie takiego fachu, do którego miałbyś powołanie.

Mundzio przychodził tedy na trzy godziny. Postanowił zająć się Adasiem nie tylko jak uczniem, ale jak bratem i oddawał mu się całą duszą. Pracował nad nim wytrwale, nie zrażając się niezdolnym zachowaniem Adasia, który, odzwyczajony od systematycznej pracy, ziewał przy lekcji, przeciągał się, nie uważał, myślał o czym innym. Czasem nie był prosto w stanie uwagi przy słowach Mundzia zatrzymać. Myśl, przyzwyczajona do włóczęgi, uciekała ciągle w rozmaite strony. Pomimo to, Mundzio nie ustawał w pracy. Kuł, powtarzał po sto razy, prosił, groził i jednakże w końcu dokazał tego, że powoli Adaś począł uczyć się lepiej. Umysł jego na nowo do pracy nawykł, stopnie na cenzurze noworocznej trochę się poprawiły. Mundzio na święta do Słomieńca pojechał i tam znowu prosząc, grożąc, korzystając z chwil dobrego humoru Adasia, pracował nad nim ze wszystkich sił.

Skończyło się na tem, że Adaś dostał promocję warunkowo, z poprawką. Znowu tedy Mundzio pojechał z nim na wakacje i przebył przy Adasiu prawdziwy czysciec. Nie chciał za każdym razem chodzić ze skargą do pana Bodzickiego, gdyż postępowanie syna tak strasznie martwiło biednego ojca, iż prawie chorował przy każdej nowej scenie. Korepetytor chwycił się więc najrozmaitszych środków, które wszakże nie zawsze skutkowały. Adaś często poprostu uciekał i trzeba go było łapać po ogrodzie, po lesie, po polu. To znowu taki bywał rozespany, taki leniwy, taki do niczego, taki pozbawiony wszelkiej woli i wszelkiej ochoty, że był na wszelkie zakłęcia, jak nieczułe drzewo. Ale niechno wypadła jaka zabawa, jaka wycieczka, jaka przejażdżka. Oho, nasz Adaś stawał się innym chłopcem. Budziło się w nim nagle życie, wesołość, żywość, spryt, dowcip, energia. Przy zabawie to nie spał i nie ziewał; nie przeciągał się i nie miał tej miny znudzonego głupca, którą Mundzio znał tak doskonale. Owszem, stawał się z niego taki dziarski chłopak, że aż miło.

(d. c. n.).

ROŚLINY CHODZĄCE.

Rośliny mogą okazywać ruchy bardzo ciekawe, ale nie spotykamy prawie takich, któreby opuszczały miejsca raz zajęte, dla wybrania innych dogodniejszych. A jednak pewnego pięknego poranku, dokazał tego dąb w miejscowości Ville d'Avray we Francji. Żył on sobie nędznie na szczycie skały, gdzie ziarno jego, zaniezione zapewne wiatrem, puściło korzonki. U stóp skały była ziemia żyzna, zawsze wilgotna. Stanowiło to silną pokusę dla zgłodniałego biedaka.

Cóż robi? Oto wypuszcza z dołu swej lodygi korzeń, który, spuszczaając się po stokach skały, dosięgnął nareszcie urodzajnego gruntu, zagłębił się w nim i tak się rozwinął, iż zdawał się być przedłużeniem pnia. Ten nowy korzeń i lodyga zarazem rosły prędko, podczas gdy pierwotne korzenie na szczycie skały nikły.

Widziano też klon, rosnący na wysokim murze, który opuścił w ten sam sposób swoją wyniosłą siedzibę, aby zająć miejsce w ziemi uprawnej, znajdującej się o 3 metry niżej. A co myślicie o podróży porzeczkowego krzewu, którego historię opowiada jeden z botaników francuzkich. Krzew ten rósł sobie szczęśliwie w ogrodzie, nic mu nie brakowało; aż tu pewnego razu zwała się ściana parkanu i spowodowała przesiąkanie wody mineralnej do gruntu, który ją żywił. Korzeń zaczął żółknąć i byłby niszczał niezawodnie, ale przyszło mu szczęśliwe natchnienie skierować jedną ze swych gałęzi ku stronie cokolwiek wyniesionej i zasłoniętej murem od trującej wody. Gałąź dosięgła gruntu, w punkcie zetknięcia z ziemią wypuściła korzenie i wkrótce śmiała emigrantka stała się głównym pniem krzewu, gałęzie zaś pierwotne, które pozostały w niegościnnym gruncie, znikły w niedługim czasie.

Otóż macie dąb, klon, które schodzą bez ceremonii ze skały, z wysokiej ściany, krzak porzeczkowy przenoszący się o metr dalej, nie z lekkością ptaka co prawda, ale szybko, a nadewszystko z niesłychanie silną wolą, o którą nikty go nie był podejrywał. Są to jednak wypadki wyjątkowe, okoliczności, z których korzystać mogły jedynie tylko osobniki uprzywilejowane, gdy te się ratowały, tysiące innych byłoby zgineło.

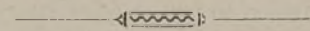
Istnieje jednak znaczna liczba roślin trwałych, o lodydze zielonej, dla których przenosiny takie stanowią regułę. Nazywają je niekiedy roślinami wędrującymi. Nie chodzą one z wielką szybkością, nie sądzicie aby je nagle z oczu stracić można, niektóre z nich potrzebują nieraz roku, aby posu-

nać się o centymetr naprzód; niemniej jednak to posuwanie się jest ciekawe i godne sprawdzenia. Poziomki, fiolek, jastrzębiec pełzają przy pomocy rozłogów, czyli wyrostków bocznych, które w punktach zetknięcia się z ziemią wypuszczają korzonki i zagłębiają je w gruncie, tworząc nowy krzaczek, ten znów po pewnym czasie wypuści z kolei nowe pędy, a zagłębiając je w ziemi, daje początek nowej roślinie. Poziomka pozostawiona własnej fantazyi w polu przez jakieś lat 10, wytworzy całą kolonię krzaczków, a najmłodsze będą już w znacznem oddaleniu od rośliny, która im dała początek i która niszczała oddawna. Roślina zwana w języku ludowym babią krówką, ukazująca się w lasach naszych dość wczesną wiosną z białemi, spadającymi kwiatkami, przynosi się innym sposobem. Ma ona korzeń, zaopatrzony w małe

nabrzmiąły ryć Nr. 2. Pierwsza służyła do wytworzenia łodygi i liści wyrosłych nad ziemią, druga przebędzie zimę w gruncie, aby w roku przyszłym wydać łodygę nadziemną, gdy ta z kolei zczernieje i pomarszczy się, wytworzy się obok niej nowa, biała, ale zawsze z tej samej strony i tak powtarza się ciągle.

Oto jest wytłomaczenie tej ciekawej wędrówki, która pozwala roślinie zagłębiać co roku korzenie w nowym gruncie.

A. R.



Zwaliska Palmiry.

pączki na końcu ryć. Nr. 1. Na wiosnę pączki te wydają łodygę nadziemną, umierającą w jesieni i zostawiającą po sobie okrągłą bliznę. Nowe pączki wydłużają się pod ziemią w czasie zimy, a na drugą wiosnę dają łodygę nadziemną, cokolwiek wysuniętą naprzód niż zeszłoroczna. Tym sposobem korzeń wydłuża się pod ziemią w jedną stronę w miarę jak niszczeje z drugiego końca. Konwalia, irys i wiele innych przenoszą się również przy pomocy takiegoż organu przenośnego, który pozwala im odbywać, bez pośpiechu, te podróże nieograniczone. Większość storczykowatych naszych pól i lasów, mają jeszcze dziwniejszy sposób podróżowania. Zużywają około 1/2 wieku, aby przybyć na miejsce skąd wyszły, opisawszy krąg koła, który potem zaczynają znowu obiegać w tym samym kierunku. Jeżeli przedstawić dwie jakby bulwki korzeniowe, jedna jest ciemna, pomarszczona, zwiędła, prawie sucha, druga biała,

NA ZWALISKACH PALMIRY.

Pomimo niezaprzeczanej przewagi, jaką w przebiegu wieków ustawicznie naprzód kroczący postęp, rozwija w każdej gałęzi sztuk pięknych a tem samem i w budownictwie, niepodobna jest odmówić sprawiedliwości starożytnym architektom, których dzieła o wiele wieków przeżywszy swych twórców, dziś jeszcze jako zabytki przeszłości, nie przestają być przedmiotami podziwu dla potomnych. Do takich to właśnie należą szczątki przepysznych bram, słupów i portyków, jakie liczni turyści oglądają z zachwytem w niższej Syrii, na miejscu gdzie niegdyś w III-cim wieku po narodzeniu Chrystusa Pana, Syryjczyk Odenatus, założył miasto Thamar, czyli Tadmor, co znaczyło: miasto palm, od wielkiej ilości tych wspaniałych drzew rosnących w tej okoli-

cy. Z tej też samej przyczyny Grecy nazwali całą prowincję Palmyreną, a Tadmor, Palmirą. Pod rządem mądrej Zenobii, małżonki Odenatusa, całe jej państwo doszło do najwyższej pomyślności, a stolica jego zasłynęła na cały świat ówczesny, ze swoich bogactw i wspaniałych zabudowań.

Ale trwało to niestety! zbyt krótko, już bowiem w roku 275 Aureliusz, cesarz rzymski, mszcząc się za doznane od Syryjczyków wiarołomstwo, po zdobyciu Palmyreny, zrównał niemal z ziemią pyszną jej stolicę, a chociaż ta znacznie już później na nowo odbudowaną została, dostawszy się wszelako w r. 741 w ręce Arabów, pozostała już na zawsze tem, czem ją tu na rycinie widzimy, to jest wspaniałem rumowiskiem, po nad którem sterczą tu i owdzie szczątki przepysznych pamiątek starożytnego budownictwa, których dotąd jeszcze ani czas, ani ludzie zaglądnąć nie zdołali.

APOSTOLSTWO DZIECKA.

(Dokończenie).

Z rodzicielskiego domu młody syn marnotrawny pospieszył do mieszkania misjonarza, który go przyjął z otwartą rękoma. Słuchając opowiadań chłopca o postępach jego apostołstwa wśród ludożerców, Ojciec Laval zamyslił się głęboko. Nazajutrz zaś wezwał do siebie młodego Athanacia i rzekł:

— Moje dziecko, posłannictwo powierzone ci przez Boga nie zostało jeszcze wykonanem. Biedni dzicy, na wpół tylko oświeceni światłem prawdziwej wiary, wrócą do dawnego barbarzyństwa, jeżeli natychmiast nie pospieszymy im z pomocą. Czy chcesz więc ukończyć dzieło tak pięknie rozpoczęte? W takim razie odpływaj na pokładzie „Aorai” i przywieź nam Moeawę wraz z jego rodziną. — Będziemy ich uczyli a wreszcie ochrzczimy i odeślemy z powrotem już jako ucywilizowanych chrześcijan. Czy chcesz więc dla chwały Bożej zostać apostołem?

— Ojciec — odparł Athanacio — pragnienie twoje jest dla mnie rozkazem, z radością przeto odpłynę do Pukarui.

Niro, wuj młodego naszego katechty, przyłączył się również do uczestników wyprawy i w wigilię Wniebowzięcia Najświętszej Panny, parowiec podniósł kotwicę. Niestety, zamiast udać się wprost do Pukarui, zabrawszy wprzód z sobą czterech dzikich, pozostawionych w Marutei, odbył on długą żeglugę aż do Tahiti i dopiero na kilka dni przed uroczystością Wszystkich Świętych dotarł do ludożerczej wyspy.

Natychmiast na morze spuszczone dwie łodzie. Jedna z nich miała zbadać dno zatoki, aby się przekonać, czy nie zawiera ona konchy perłowej druga zaś na której znajdowali się dwaj Mangarewczycy, miała zabrać tych krajowców, którzyby się zgodzili odpłynąć do archipelagu Gambier. Naprzód przybyła łódź wysłana po konchy perłowe. Krajowcy powitali ją przeraźliwym wojennym okrzykiem, wywijając w powietrzu włóczniami i wołając:

— Gdzie są czterej nasi ludzie, którzy odpłynęli z Athanaciem? A, wyście ich zabili i pożarli! Teraz więc na was przyszła kolej.

To rzekłszy, chcieli się rzucić na bezbronnych majtków gdy wylądował Athanacio i zawołał:

— Nie bijcie tych ludzi, bo nie są oni źli. Ja jestem Athanaciem, czyż mnie nie poznajecie?

— Tyś Athanacio? — odparli dzicy — to nieprawda tamten był ciemniejszy od ciebie.

— To mówiąc uprowadzili go ze sobą na skały, ażeby baczniej mu się przypatrzeć.

— Tak to ty Athanacio — zawołali po chwili — albowiem, coś zrobił z czterema naszymi braćmi, których zabrałeś z sobą?

— Są oni w Marutei.

— W Marutei, tak, ale nieżywi.

— Owszem, żywi; ja zaś chciałbym jeszcze zabrać was kilku na okręt i wraz z tamtymi zawieźć do Mangarewy.

— Aby nas zabić, nieprawdaż, i pożreć jak tamtych.

Zaniepokojony o los swego siostrzeńca, Niro wysiadł również z łodzi, ale natychmiast schwytali go trzej dzicy i zatrzymali na skale po nad wodą. Wówczas marynarze z pierwszej łodzi, widząc grożące niebezpieczeństwo odpłynęli z powrotem na okręt ażeby zawiadomić kapitana o wszystkim co zaszło i zabrać więcej towarzyszy. Niestety, statek „Aorai” stał na kotwicy w odległości dwóch mil od brzegu, w przeciagu zaś czasu niezbędnego dla marynarzy na dwukrotne przebycie tej przestrzeni ileż nieszczęść mogło nastąpić!

Ludożercy zaczęli się naradzać co do losu swych więźniów, gdy nadszedł Moeawa z dwoma przyjaciółmi.

— Mój ojciec! mój ojciec — zawołał do niego Athanacio — oto już wróciłem a tymczasem twoi bracia chcą mnie zabić!

Moeawa zbliżył się, poznaje chłopca, wydiera go z rąk katów i oblewa łzami. Mieszkańcy bowiem Oceanii płaczą zwykle ilekroć się spotkają po długim rozłączeniu.

— Chodź mój ojciec — odezwał się Athanacio — odpłyniemy razem na statku, na którym przywiozłem dużo pięknych darów dla ciebie i dla twoich.

Odpływają więc na drugiej łodzi wraz z dwoma innymi krajowcami i niebawem wchodzą na pokład „Aorai”. Sam więc tylko Niro pozostał na wyspie, okrutny zaś Toga niezwłocznie skazał go na śmierć.

— Niech się zbiorą wszyscy mieszkańcy — rzekł zwracając się do jakiejś starej kobiety — ty zaś roznieć jaknajwiększe ognisko.

— Dotykając członków swej ofiary, wybrał sobie największe, gdy tymczasem stara czarownica oświadczyła, że spożyje biodro biednego Nira.

— O Najświętsza Panno! — szeptał nieszczęśliwy — w Tobie już tylko pokładałam nadzieję.

Po chwili przywiązano mu do ramienia sznur mający dziesięć metrów długości, a zwany warkoczem bożka śmierci Ary, poczem rozpoczęła się ofiara. — Czarownik zdjął z głowy kłę z piór, zanurzył ją w morzu i pokropiwszy wodą struchlałego skazańca, zawołał:

— O bożku Ary!

— O bożku Ary! — powtórzyli wszyscy obecni.

— O bożku Ary! — wygłosił raz jeszcze czarownik kropiąc znowu biednego Mangarewczyka.

— O bożku Ary! — zawyli wyspiarze i na tem ceremonia się skończyła.

— Czy rozumiałeś co to znaczy? — zapytał Toga, zbliżając się do Nira.

— Tak, lecz Bóg mój potężniejszy jest od twego i jeżeli zechce, może mnie oswobodzić.

W tej chwili spostrzeżono łódź wiozącą ośmiu ludzi, uzbrojonych w karabiny i szable, zbliżającą się do brzegu. Majtkowie kazali Nirowi wskoczyć do morza i dopłynąć do niej, ale biedak, zamiast odpowiedzi, pokazał tylko krepujące go więzy. Wówczas sześciu majtków wylądowało i chcąc odwrócić od Nira uwagę krajowców, udało, że zamierzają na nich uderzyć. Niro skorzystał z tej sposobności, ażeby przeciąć sznur, lecz w tejże chwili jeden z wyspiarzy zranił go niebezpiecznie włócznią. Widząc to Niro zawołał do swoich:

— Po co macie tu stać na brzegu, idźcie lepiej w głąb wyspy!

Dzicy, którzy tylko tego pragnęli, natychmiast otwarli mu przejście, Niro zaś uszedłszy kilka kroków, zwrócił się nagle w przeciwną stronę i pędem strząły pobiegł ku łodzi, a majtkowie poszli za jego przykładem. Darennie wyspia-

rze puszczają się za nimi w pogoń, w tejże samej chwili wskazują wszyscy do łodzi i odbijają od brzegu, ścigani tylko wy-ciem i krzykiem rozjątrzonych ludożerców.

W kilka dni później „Aorai” wrócił do archipelagu Gambier i zarzucił kotwicę w przystani Rikikitea, poczem wysiedli na ląd dwaj tryumfujący Mangarewczycy z Mocawą, dwoma jego towarzyszami i czterema innymi mieszkańcami Pukarui, zabranymi właśnie z Marutei. Pierwszy wyskoczył na brzeg Niro i upadłszy do nóg misyjonarza, zawołał ze wzruszeniem:

— Przywozimy ci siedmiu dzikich, lecz ja sam omal nie zostałem pożarty i tylko Najświętszej Pannie zawdzięczam swe ocalenie.

Co do siedmiu przybyszów z Pukarui, to radosne okrzyki naszych wiernych przeraziły ich tak dalece, że prawie skamienieli z trwogi, myśląc, iż lada chwilę zostaną zabici i po-żarci. Wówczas dopiero uspokoili się nieco, gdy matka Athanacia przytuliła do piersi syna i Moeawę, okrywając ich obu pocałunkami i oblewając łzami radości. Rozrzewniająca ta scena ośmieliła nieco biednych Pukarujczyków, tak, że bez wahania dali się zaprowadzić do króla i królowej, którzy ich obsypali darami.

Końca tego opowiadania sami czytelnicy z łatwością się domyślą. Oto nowoprzybyli dżicy ucywilizowali się po-woli, wyczyli się prawd wiary i zostali ochrzczeni, O. Roussel użył ich w celu zabrania z Pukarui kilku innych wyspiarzy, którzy poszli za przykładem pierwszych swych towarzyszy. Tak więc dawni ludożercy z Pukarui zawdzię-czają swe nawrócenie apostołstwu dziecka, gdyż mądrość Boża umie obrócić wszystko na swą chwałę i na pożytek dusz.

— Tu mieszka Matteo Giustiniani, młody szlachcic wenecki i Franciszek Hammond, wielki ulubieniec mojego pana.

Oficer zaklął gniewnie. Nazwisko Polaniego było do-brze znane w Genui, wiedziano, że jest jednym z najbogat-szych kupców, i że jest blizkim krewnym Doży. Rodzina Giustinianich była jeszcze znakomitszą. Gdyby więc udało się schwytać obu tych podróżnych, to okup za nich przeniósł-by o wiele wartość „Lida” i ładunku.

Po chwili namysłu odpłynął i wrócił niebawem z pełną szalupą ludzi.

— Pan możesz ze swoimi marynarzami odjechać na ląd — rzekł, zwracając się do kapitana — admirał powiada, że nie warto wieść was do Genui. Ale się pan spiesz, bo nie mamy czasu zabawić się z wami.

Ponieważ wszystkie łodzie „Lida” odpłynęły na brzeg, kapitan dał znak rybackiej łódce, aby się zbliżyła i wsiadł do niej ze swoimi majtkami, rad bardzo, że uniknął genueń-skich więzień. Łatwo zrozumiał, że admirał uwolnił ich jedy-nie dla tego, że ich było tak niewielu; całą załogę byłby za-brał, ale nie szło mu o tych pięciu ludzi.

Franciszek i jego towarzysze szli z początku wzdłuż wybrzeży; młody dowódca nakupił w mieście żywności na kilka dni, więc uszedłszy spory kawał, kazał się zatrzymać, korzystając z ochrony, jaką im dawał niewielki lasek. Ztąd widzieli cały port i genueńskie galery.

Rozpalono ognie i przygotowano posiłek, i w chwili, gdy się zgłodniiali marynarze zabierali do jedzenia, nadszedł kapitan z swoimi ludźmi, witany radośnie przez Franciszka, który nie spodziewał się go widzieć.

— Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy — rzekł kapitan. — Signor Polani może zanieść skargę przed Wielką Radę, ale nie wiem czy co uzyska. Nasz padrone jest spra-wiedliwy, ale i on nie zechce powierzać okrętu człowiekowi, który niema szczęścia, a i w zeszłym roku statek mój się rozbił nie z mojej winy co prawda, w każdym jednak razie, ja nim dowodziłem

— Może się nam uda odzyskać statek?

— Nigdy w świecie! Nawet gdybyśmy go wyprowa-dzili z portu niedostrzeżenie, to i takby się na nic nie przy-dało. „Lido” ma pełny ładunek zboża, będzie więc płynął bardzo wolno, i genueńskie statki dopędzą go w kilka godzin. Jak się wtedy nieprzyjacieli obchodzi z załogą — wolę prze-milczeć.

— Słusznie mówisz kapitanie, jednak ogromnie mi żal naszego „Lida”.

Po skończonym posiłku, Franciszek wstał i poszedł z Matteo wzdłuż skał; Giuseppe im towarzyszył jak zwykle. Szli dosyć długo, co chwila byli zmuszeni przecinać wąskie cyple wchodzące w morze.

— Dokąd idziemy Franciszku? — zapytał w końcu Matteo.

— Jeszcze kawałek, chciałbym obejrzeć zatokę, któ-rąśmy widzieli z przeciwnego przylądka.

— Cóż tam upatrzysz? Nigdy w życiu nie widziałem takiego dziwnego człowieka jak ty. Kiedym mówił o wy-prawie na Etnę, toś mnie wyśmiał, a teraz ciągniesz mnie po skałach sam nie wiesz poco.

— To się pokaże; ja sędzę, że się nasza wycieczka na coś przyda.

Matteo wzruszył ramionami, i w milczeniu szli dalej.

— Otóż i jesteśmy — rzekł Franciszek, zatrzymując się na brzegu przepaści i z uwagą przyglądał się skałom. Wy-bornie, nie mogło być lepiej.

— Bardzo się cieszę, że jesteś zadowolony — zauważył Matteo, siadając na trawie, przyglądając się pięknym wido-kom — a ja tymczasem odpocznę.

Zatoka nad którą stali była niewielka, zaledwie na pa-ręset jardów wrzynała się w ląd, a od strony morza zamykał ją szereg skał gęsto rozrzuconych.

— Jak wysoko te skały stoją nad wodą Giuseppe?

Lew świętego Marka

(Z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

Cała załoga „Lida” przyniosła ze sobą broń, aby w ra-zie napaści odeprzeć nieprzyjaciela; na czele owych pięćdzie-sięciu ludzi stanął Franciszek i powiódł ich w góry.

Zaraz po zarzuceniu kotwicy przez Genueńczyków, spuszczone łódz i jedna z nich zbliżyła się do „Lida”, na którego maszcie powiewała wenecka flaga. Oficer i sześciu marynarzy weszło na pokład.

— Pan jest kapitanem tego statku? — spytał.

— Tak jest.

— Co to jest za okręt?

— „Lido”, należy do pana Polaniego z Wenecyi; wie-zie ładunek pszenicy.

— Zatem jesteś pan moim więźniem. Ten statek do mnie należy.

— Obie rzeczypospolite są w zgodzie, zatem postępek pański jest godzien rozbójnika morskiego.

— Mam wiadomości, że kilka naszych statków zabrali Wenecyanie; mamy więc wszelkie prawo powetować to sobie dzisiaj. Jak licznę masz pan załogę?

— Jest nas czterech na okręcie; właśnie skończyliśmy ładowanie i wszyscy majtkowie udali się na ląd; wątpię, aże-by teraz wrócili — dodał, gdyż oficer zdarł flagę wenecką, a zatknął chorągiew Genui.

Genueńczyk obejrzał statek.

— Kogo pan masz na okręcie? — zapytał, zdziwiony wykwintnem umeblowaniem kajuty Franciszka.

— Trudno z daleka sądzić, zwłaszcza, że patrzymy z góry. Ja sądzę jednak, że ze dwanaście stóp.

— Mnie się zdaje, że ze dwa razy tyle, Giuseppe, ale przekonamy się na pewno, gdy zejdziemy nad brzeg morza. Poszukajmy teraz ścieżki.

— Mój Franciszku, co się tobie stało — rzekł Matteo — zaczynam się naprawdę niepokoić o twoje zdrowie. Co cię mogą obchodzić te skały? Nie różnią się one niczem od wszystkich innych skał i nikomu tu nie zawadzają. Kazałeś mi biec dwie mile, ażeby je obejrzeć, a teraz chcesz jeszcze schodzić po jakiejś karkołomnej ścieżce, ażeby je widzieć zbliska!

Ale Franciszek nie słuchał przyjaciela, patrzył uważnie na spokojną wodę, która była tak przezroczysta, że można było dostrzedz kamyki leżące na dnie.

— Woda wydaje się bardzo płytka, ale to może tylko złudzenie; w każdym razie muszę zejść i przekonać się.

— Idź, a ja tymczasem się zdrzemnę — rzekł Matteo z rezygnacją. — Mnie nic nie obchodzi ani twoja woda, ani twoje skały; uprzedzam cię tylko, że całe twoje zachowanie, wydaje mi się wariackiem.

— Więc się dotychczas nie domyśliłeś o co mi chodzi?

— Nic a nic, i wcale cię nie proszę, abyś mi to opowiedział. Masz jakiś pomysł więc go sobie wykonaj, tylko nie wymagaj odemnie żebym się męczył i kaleczył sobie ręce schodząc na dół.

— Otóż słuchaj, a potem będziesz mówił. Nie ma sposobu uprowadzenia „Lido” na pełne morze, bo nas Genuenicy dopędzą. Ale jeżeliby się nam udało schować okręt za temi skałami, to niktby się nie domyślił, gdyż z odległości mili te skały, wyglądają jak gdyby się łączyły z wybrzeżem i tam znający miejscowość wiedzą, że jest za nimi zatoka.

— Dlaczegoś mi tego wcześniej nie powiedział — zawołał Matteo, zrywając się na równe nogi. — Wierz mi, do prawdy byłem trochę niespokojny o ciebie. A teraz patrzmy uważnie na skały. Cóż z tego — dodał po chwili — tu nie ma dosyć wody dla małej łódki, a nasz „Lido” zagłębia się na dziesięć stóp, teraz kiedy ma pełny ładunek.

— Nie można stąd sądzić, woda jest bardzo przezroczysta i dla tego nam się wydaje, że jest płytka. W każdym razie należy się przekonać. Utniemy kilka długich drągów ażeby zmierzyć jej głębokość. Ale w pierw musimy znaleźć miejsce, którebyśmy zeszli.

Po kwadransie natrafili na łożysko strumyka; nad brzegiem którego rosły drzewa i krzewy; było się więc za co schwycić. Zaopatrzeni w drągi mające po dwanaście stóp długości, zaczęli powoli zstępować. W kilka minut później stali nad brzegiem morza.

— Bardzo szczęśliwie, że droga jest łatwa — zauważył Franciszek — bo jeżeli nas spostrzegą, to my możemy wdrapać się na skały i załoga wszystkich galer nas nie dosięgnie. A teraz najważniejsza rzecz, zmierzmy wodę.

— Na nic się nie przyda nasza ekspedycja. Giuseppe przejdzie się po zatoce nie zamoczywszy kolan.

— Niech spróbuje, ale zaręczam, że daleko nie pójdzie. Giuseppe, który podzielał zdanie Mattea wszedł odwa-

żnie, ale się zdziwił, gdyż parę kroków dalej woda sięgała mu po pas.

— Musiałem wpaść do dziury — rzekł Giuseppe, wracając na brzeg. — Trzeba gdzie indziej spróbować.

To mówiąc, zdejmował ubranie, Franciszek i Matteo uczynili to samo i we trzech popłynęli do skał, zamykających wejście do zatoki. Wznosiły się one, jak przypuszczał Franciszek od dwudziestu do trzydziestu stóp nad powierzchnię morza. Woda stawała się coraz głębszą i od połowy zatoki nie mogli dotknąć dna, nawet za pomocą swoich drągów. Potem sondowali przejścia między skałami i wybrzeżem; i tam było dosyć wody dla „Lida”.

— Wiesz Franciszku — rzekł Matteo, gdy wyszli z wody — gdybyś mi teraz powiedział, że po niebie wędruje nie księżyc ale biały talerz, to ci nawet wtedy uwierzę. Przysięgam, że cała zatoka niema więcej nad parę stóp głębokości.

— I ja nie byłem pewny — odparł Franciszek — nie raz jednak widziałem że z wysokości woda wydaje się płytka.

— Wiesz jednak, że nasze maszty będzie widać z skał? Trzeba by je zdjąć.

— To je zdejmujemy; a jeżeli się nie uda, to je zrabujemy. Nie ma się o co kłopotać. A teraz wracamy do obłozowiska, bo się ściemnia. Wszystko zależy od tego, czy nie otoczyli „Lida” swojemi okrętami; jeżeli stoi z daleka, to mam nadzieję, że go wyprowadzimy bez trudności, bo nawet księżyc nie świeci.

Wchodzili właśnie po stromej ścieżce, naraz Franciszek stanął.

— Po nocy nie znajdziemy zatoki. Giuseppe, ty zostań tutaj, nazbieraj suchego drzewa i ułóż je w stos. Jak tylko zobaczysz światło „Lida” na morzu, rozpal ognisko, ażebyśmy się mogli kierować według niego.

— Możemy lepiej ułożyć stos na skałach, woda w przejściu jest od samego brzegu głęboka, więc statek mógłby płynąć wprost na ogień. Już ja potrafię to zrobić, ale wolałbym być z wami.

— My się na nic nie narażamy, Giuseppe. Nie możemy myśleć o walce z tak przeważającą siłą. Jeżeli Genuenicy nas dostrzegą, to natychmiast wsiądziemy do łodzi i schronimy się na brzeg. Uważaj tylko na sygnały. My wywiesimy dwie latarnie jedna nad drugą, abyś się nie omylił i nie wziął za „Lido” jakiejś rybackiej łodzi. Spieszmy Matteo, nie mamy czasu do stracenia.

Chłopcy przyspieszyli kroku i w pół godziny byli w lesie.

— Jużesmy się niepokoił o was — rzekł kapitan ścisnąc ich ręce.

— Szukaliśmy sposobu, żeby odzyskać „Lido” i znaleźliśmy doskonały — odpowiedział Franciszek.

— Chyba mu przypawicie skrzydła, bo inaczej dogonią go znowu galery genuenckie.

— Nie myślimy wcale o ucieczce, ale znaleźliśmy miejsce na wybrzeżu, gdzie go można łatwo ukryć i z pewnością nikt nas nie znajdzie.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Niedziela Palmowa w Raguzie (z drzew.) — Losy Adasia p. Zofię Kowerską. — Rośliny chodzące p. A. R. (z drzew.) — Na zwaliskach Palmiry (z drzew.) — Apostolstwo dziecka. — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). — Dodatek: Panna Klocia, wiersz p. Z. M. (z drzew.). — W Wielki Piątek. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Orla skała, powieść miss K. Yonge, przekład T. O.

WIECZORY RODZINNE

Sanna Kłocia.

Czy kto z was zna pannę Kłocię,
Co to wiecznie zapłakana,
I czy wieczór, czy to z rana
Zawsze martwi mamę, ciocię?

Nie, nikt nie zna? To szczęśliwie!

Bo to brzydko, to naganne,

Wstyd znać nawet taką pannę!

Czy jest taka? ja się dziwię!

Ja wiem, że jest grzeczna, miła

I wesoła, uśmiechnięta,

Niechaj więc każda zapamięta,

Żeby również taką była.

Z. M.

W WIELKI PIĄTEK.

Był to Wielki Piątek. Dzieci, wolne od lekcji, używały swobody. Wicio, najstarszy z rodzeństwa, który był już w 6-tej klasie, a teraz przyjechał do domu na święta, od rana dziś spoglądał w okno, po którym sływał obfity deszcz mroźny. On miał taką ochotę pobiedz do stajni i przejechać siwką, z którym od Bożego Narodzenia się nie widział! Ale trudna rada; niebo szczelnie okryło się chmurami — chłopczyk musi rozważać, czemu sobie czas zapędzić?

Młodsza od niego o parę lat Zosia, także pensjonarka, ubrawszy się w biały fartuszek i białą chusteczkę, pomagała mamie w zajęciach, a tak była uważna, tak cicho i zręcznie przesuwiała się pomiędzy rozstawionymi naczyniami, tak umiała się domyślić, co w tej chwili mamie podać trzeba, że aż mama ją uściskała, bo widziała dobrze, że Zosi nie chodziło o własną zabawę, ale o oszczędzenie jej zmęczenia.

Zupełnie inaczej zachowywała się siedmioletnia Bronia, figlarz i pieszczoszek wszystkich. Mała to była szczebiotka, ale dziś doprawdy nieznośna. Ubrała się w ogromny jakiś fartuch, który potrafiła już tak w mące uwaląć, że gdzie przeszła, pozostawiała za sobą białe ślady, wszędzie jej było pełno, wszędzie coś ruszyła, a wciąż o coś pytała i za dziesięciu hałasowała. Zosia, widząc jak to mamę męczy, sama pilnowała Broni, i zwracała na nią uwagę.

Ale obecnie, niema już w kuchni żadnego zajęcia. Baby poszły do pieca — jak mówiła kucharka — więc trzeba było kuchnię zamknąć i wyjść na parę godzin. Mama udała się do swego pokoju, ażeby trochę odpocząć i pomodlić się, bo o pojechaniu do kościoła nie można było i myśleć, z powodu dalekiej i złej drogi, a dziewczynki poszły do pokoju babuni, gdzie wiedziały, że był już Wicio.



Zosia weszła cicho, ale Bronia, swoim zwyczajem, wleciała jak bomba i zakręciła się w kółko po pokoju, pośpiewując:

— Baby już w piecu! a ja mam dwie babki! A ja mam dwie babki!

Ale nikt jej nie odpowiadał, więc obejrzała się i spotkała surowy wzrok brata, który siedząc przy babuni, trzymał w ręku książkę. Bronia przycichła jak trusia, a Wicio czytał dalej opis Męki Pańskiej. Gdy doszedł do chwili skonu Zbawiciela i słów setnika prawdziwie: ten był synem Bożym... babunia dała znak ręką, aby przestał, zamknął książkę i wszyscy za przykładem babuni upadli na kolana i modlili się. Gdy powstał Wicio rzekł do Broni:

— Winszuję ci. Jak na Wielki Piątek, dość jesteś wesoła.

— A czy ja wiedziałam, że to dziś wesołą być nie można?

— Chodź-no tu mała — rzekła babunia, i objawwszy główkę Broni, która u stóp jej na dywanie przyklękała, tak mówiła:

— Czy wiesz Broniu, jaką pamiątkę obchodzimy na Wielkanoc?

— Zmartwychwstania Pana Jezusa. Przecież wiem.

— A dziś?

— A dzisiaj, męki... ale wiemy o tem, że Pan Jezus zmartwychwstał, i za trzy dni obchodzić będziemy tę uroczystość, więc jakże możemy się smucić?

— Zapewne, że my szczęśliwsi jesteśmy teraz od tych biednych uczniów, co widzieli mękę i skon Chrystusa, a nie byli pewni zmartwychwstania, i w okropnej żałości i trwodze spędzili trzy dni... Nas Ewangelia uczy, że Bóg nam zmartwychwstał i śmiercią swoją śmierć naszych dusz zwyciężył.

— Ale przypomnij sobie, niedawno temu, wujostwo Karolowie zostali zaproszeni na bal do państwa Z. Ciocia Tosia miała nawet już suknię gotową...

— Ach tak, pamiętam! — podchwyciła Bronia z zachwytem.. suknia była taka różowa, taka błyszcząca, z ogonem, a u góry, naokoło, był taki śliczny biały puszek; i był wachlarz taki z piór...

— No tak. I czemuż nie pojechała.

— A no, bo jak się dowiedziała, iż bal będzie 5-go lutego, to nie chciała, bo to rocznica śmierci jej mamy.

— Czy cię to zadziwiło, że nie chciała tańczyć w rocznicę śmierci swojej matki?

— Ale gdzieś! — oburzyła się Bronia. — Jak babcia może o to pytać.

— No, a przecież wie o tem od 4 lat, że jej mama umarła.

Bronia się zamyśliła.

— Prawda. A to, to ja jednak rozumiem. Bo...

— No, pomyśl pieśczoćko, i wytłomacz mi to.

— Bo, bo widzi babcia, ciocia nie może myśleć ciągle tylko o swej mamie, bo musi myśleć i o wujaszku, i o maleńkim Jasiu, i o wielu innych rzeczach. A znowu wcale nie myśleć, też nie może, ale nie chce o swojej mamie zapomnieć, więc jest jeden dzień w roku, dzień śmierci babci, kiedy ciocia o niej więcej myśli, przypomina sobie, no i wtedy pewnie, że niema ochoty tańczyć.

— Dobrze to wytłomaczyłaś. A teraz czy znasz Broniu, ewangelię o męce Chrystusa?

— Znam — odrzekła Bronia, w niedzielę mama nam ją głośno czytała! mało nad nią nie płakałam, i teraz jak sobie przypomnę, płakać mam ochotę.

— I teraz gdy to sobie znów przypomniałaś. Czy nie miałabyś ochoty poskakać sobie i pośpiewać: Baby w piecu!

— Babciu! — zawołała zawstydzona Bronia.

— Widzisz. Wicio tylko co czytał mękę Chrystusa, więc nic dziwnego, że go twoja wesołość raziła.

— Bo to babciu te mazurki, tak wszystkim w głowie przewracają!

— Szczególniej, jak się ma siedm latek i jest się żywą jak iskra. Ale kończyny. Zatem Kościół naznaaczył na to, aby przypominać sobie Mękę Pańską, Wielki Tydzień, a szczególniej Wielki Piątek.

Jeżeli jesteś już dość duża aby myśleć, to pomyśl o tem wtedy. Przypomnij sobie Chrystusa na krzyżu, a potem idź do swoich zajęć. Mazurki ani baby same się nie upieką, więc trzeba tem się zająć. Przykro było-

by, gdyby gospodynie nie chciały zachować dawnego zwyczaju i nie zastawiły święconego. Więc się tem zajmują, a takie jak ty dzieci, mogą się tem ubawić, a tylko, jeżeli już są rozsądne, to nie będą tak swawolic jak w inne wesołe święto.

— Rozumiem. Od tej pory i ja będę inną, zobaczy babcia. A to bardzo dobrze, że naznaczono dnie, aby przypominać różne ważne tajemnice. Bo powoli, powoli mogliby ludzie o nich zapomnieć, przy swoich różnych zajęciach, jak ja np. zapomniałam teraz. A toż byłoby okropnie, gdyby ludzie zapomnieli o Bogu, co za nich umarł!

— Dobrześ powiedziała, moje dziecko — rzekła babcia, całując w czoło Bronię. — teraz idź się bawić. Dzieci takie nie mogą zbyt długo o poważnych rzeczach rozmawiać, i nikt też od nich tego nie wymaga.

— To pójdę spytać, kiedy będą malować jajka — odrzekła Bronia i wybiegła z pokoju.

A zdala, gdzie przysłuchiwał się całej rozmowie, odezwał się poważnie Wicio:

— A ja, zapamiętam przez życie całe słowa mojej małej siostrzyczki: okropnie byłoby, gdyby ludzie o Bogu zapomnieli!

Mar.

Mali Robinsonowie w skalach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— Gorąca jeszcze, ale wyborna! Nigdy jeszcze takiej zupy nie jadłem!

— Biedaku ty mój — odpowiedziała Melcia, całując brata — smakuje ci boś dawno już nic podobnego nie miał...

— O, nie dla tego tylko, spróbuj sama! I Iwonek zbliżył pełną łyżkę do ust siostry.

— Prawda, że mi się nieźle udała moja polewka — powiedziała dziewczynka, której ten łyk ciepłej zupy nie mniej jak bratu smakował.

— Będiesz ją gotowała teraz codziennie siostrzyczko?

— Ani myślę! Sprzykrzyłaby ci się tak prędko jak homary... Dobrych rzeczy nie trzeba nigdy nadużywać. Kto wie, gdy ztąd raz wyjdziemy...

— Ale to nie tak prędko nastąpi, nie prędej, aż tak zmęźnieję, że już się nie zmieszczę do naszego przejścia... — zagadnął Iwonek z żywością, a zamyśliwszy się chwilę, dodał: — Nie, nie, nie dawaj mi tej zupy codziennie, jadłbym jej zbyt wiele i roztył się jeszcze w końcu...

Myśl ta wywołała wybuch wesołości u dzieci. Iwonek gruby i tłusty, czyż to nie śmieszne! Po chwili jednak Melcia spojrziała na chłopca uważniej i doznała przykrego uczucia, widząc jego twarzyczkę jeszcze szczuplejszą i bledszą jak dawniej.

— Za mało chodzisz, mój drogi, codziennie teraz musisz biegać po dziedzińcu, przez jakie pół godziny.

— A to dla czego?

— Ażebyś miał trochę ruchu, będzie ci z tem do-
brze...

— Ale to będzie bardzo nudnie, jeśli się razem ba-
wić nie będziemy.

— To będziemy biegać razem.

— A w co będziemy się bawili?

— W chowanego.

— Kiedy nie ma się gdzie chować..

— No, to w ślepą babkę...

— Czy ty będziesz ślepą babką?

— Dobrze...

— Nie widząc jednak, mogłabyś wpaść jeszcze w ja-
ką dziurę.

— Nie pozwolisz mi się do niej zbliżyć, będziesz
wołał: ogień, ogień!

— Żebyś to ja miał być ślepą babką, tobym się
lękał.

— To będziemy się bawić w konie; za lejce użyje-
my powróz, którym był worek związany.

— Ty będziesz koniem Melciu, prawda, a ja będę
woźnicą?

— Dobrze, dobrze, byleś tylko biegał, to wszystko
czego żądam.

Zjadłszy smaczny obiad, dzieci były wesołe, i wieczór
upłynął im bardzo przyjemnie, bo Melcia opowiadała
śliczne bajki których się nauczyła od matki Anieli, o do-
brych wrózkach i o małym karzełku.

Kładąc się spać, dziewczę pomyślało, że ich posłanie
może się prędko zużyć, i że trzeba przynieść więcej traw
morskich, zanim je fala zdąży z powrotem zabrać. Roz-
łoży się je cienko po całej grocie, aby dobrze wyschły;
a także jakiś zapas paliwa jest koniecznym. Doświad-
czenie czyniło Melcie przeczerną, a nawet chciwą na
wszystko, co fala wyrzucała, bo wszakże uważać to mogli
za „swoją własność”. Rankiem dzieci nie miały nic do
roboty, gdyż przyплыw ustępował dopiero około południa.

— Gdybyśmy też przymierzyli ubrania z worka —
zapropomował Iwonek.

— Masz słuszność. Później wypiorę nasze, które
strasliwie już są brudne.

Ze stosu rzeczy leżących w kącie Melcia wydobyła
dwie koszule, dwie pary spodni, dwie bluzy i trzewiki.

— Spróbuj ty najpierw Melciu — rzekł chłopiec.

— Idź tymczasem na balkon, zawołam cię, gdy bę-
dę ubraną.

I dziewczynka włożyła najpierw koszulę, której wy-
cięcie koło szyi spadało jej na piersi, następnie majtki
wiele za długie i za szerokie, a w końcu bluzę, której rę-
kawki zakryły zupełnie drobne jeszcze jej ręce. Po tak
skończonej toalecie przywołała brata.

Za pierwszem wejściem malec roześmiał się głośno.

— Jakże ty śmiesznie wyglądasz siostrzyczko — za-
wolał. — Taki mały marynarz w tak obszernem ubra-
niu!... Obróć się! Ha, ha, ha! Wszystko ci się na ple-
cach w same fałdy zbija!... A teraz mnie ubierz, moja
droga!

Melcia podała mu majtki, w których utonął zupeł-
nie; jego drobne nóżki kończyły się tam, gdzie miały być
kolana, to też za pierwszym krokiem przewrócił się na zie-

mię. Teraz z kolei Melcia śmiała się serdecznie, podczas
gdy brat nie uważał już, by to było tak śmiesznem.

— Nigdy nie będziemy mogli użyć tego ubrania,
siostrzyczko! — mówił zniechęcony,

— Zobaczysz później! — odpowiedziało z zapałem
dziewczę, i poczęło niezwłocznie zapinać szpilkami, zna-
lezione w tłumoczku marynarza, fałdy i zakładki, aby
oznaczyć sobie w przybliżeniu o ile ubranie powinno być
mniejsze.

— Wezmę się zaraz dziś do roboty.

— To nie będziemy się bawić w konie?

— Dla czego nie? biegać musimy codziennie; za go-
dzinę woda ustąpi, to zejdziemy na dół. Tymczasem
jeszcze spróbuję co zrobić można.

I w pracowitych rączkach Melci igła czas jakiś
w nieustannym była ruchu, tu porobiła fałdy, tam zakład-
ki lub szerokie obręby — niebawem też u koszuli wycię-
cie około szyi dostosowaniem i zmniejszeniem zostało. Iwo-
nek tymczasem zaczął poziewać.

— Nudzę się, siostrzyczko, bo czemuże się mam za-
jąć, kiedy szyć nie umiem?

— Weź książkę i czytaj.

(d. c. n.)

S Z A R A D A.

przez E. M.

*Pierwsza, druga obłoczkiem do góry ulata,
Jest siłą wzmagającą ruch na drogach świata.*

*I pomocą rąk wielu; zaś pierwsza i czwarta
Zamyka różne rzeczy, starannie zawarta.*

*Drugiego z czwartym nie piecz nigdy. Czwarta z drugą,
Źle kiedy zasłużona; niechże nie trwa długo!*

*Trzeci wspak, różną dolą człowieka na świecie;
Cała chroni od blasku, a najmiłsza w lecie.*

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

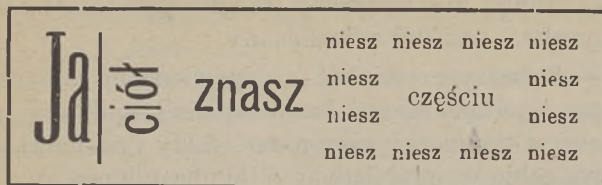
przez Kogucika.

Początkowe litery 15 wyrazów złożyć powinny tytuł
znanej powieści. 1) Stolica państwa europejskiego. 2)
Słynny ilustrator ostatnich czasów. 3) Kraj między cieśni-
ną La Perouse'a i m. Ochockiem. 4) Zamek obronny. 5)
Owoce drzewa sprowadzonego do nas z Włoch. 6)
Zwierzchnia powłoka wielu owoców. 7) Owad błonko-
skrzydły, żądłowy. 8) Materiał wybuchowy. 9) Dopływ
Amazonki. 10) Największa planeta z systemu słoneczne-
go. 11) Dawna nazwa rozbójnika. 12) Wielki mistrz Krzy-
żacki. 13) Miasto nad rz. Ebro. 14) Broń palna.

Sylaby: Pa—an—ni—wa—o—lu—o—dy—ya—jo—o
—wal—sa—ka—i—ryż—driol—pon—ro—rze—pi—sa—na
—va—wisz—pry—len—ra—ra—ris—li—wnia—chy—na
—mit—ri—szek—rod—gos—bin—sa.

REBUSIK.

ułożył Ulan z Białej.



ROZWIĄZANIA DO N-ru 11-go :

Szurady: Ko — ra — le.

Łamigłówki w kwadracie:

N a r c y z
K a n a d a
M e n u e t
S z a k a l
B e r l i n
K a ł g a n

Łamigłówki w trójkącie:

K a r p a t y
A p o l l o
R o d o s
P e r s
A a r
T y
Y

Skrzynka do listów.

Upraszamy, aby ci, którzy przysłali dobre objaśnienie ryciny podanej w r. zeszłym, o ile to jest możliwem dla nich, zgłosili się sami do Redakcyi.

Rozarycie. W przysłanej nam legendzie znać zdolność która rozwinać się może przy dalszej nauce i pracy. Wogóle przeciwni jesteście ogłaszaniu drukiem utworów młodocianych autorów nie wątpiąc, że z czasem sami przyznają nam w tem słusność.

Tym razem przesłaliśmy *Jadzi K.* żądany początek powieści, lecz że dla Redakcyi wielkiem jest utrudnieniem odszukiwanie adresu, prosimy więc nietylko Jadzię, lecz wszystkich zwracających się do Redakcyi z jakimkolwiek żądaniem, aby zawsze obok nazwiska podawali i dokładny adres.

Pannie Rogniedzie S. pojedynczy numer *Wieczorów* kosztuje kop. 10 zatem reszta kop. 10, pozostaje do dalszego rozporządzenia.

Leśna Paproć przysłała najpierwsza dobre rozwiązanie szarady z numeru poprzedniego i następnego.

Chętnie bardzo zaliczamy cię do grona korespondentów naszych *Henryku L.*, zawsze bowiem stosunek piśmienny z ludźmi starannymi i akuratsnymi pożądanym bywa, a zalety te wskazuje list jego logicznie i porządnie napisany. Łamigłówki rozwiązane dobrze.

Dobłą masz siostrzyczkę *Irenko M.* bo pragnie zarówno zrobić ci przyjemność jak przysporzyć pożytecznych wiadomości.

Starania jej nie będą bezowocne, skoro lubisz się już uczyć i czytać. Żądany początek powieści przesłano.

P. T. Janina przysłała dwie koszulki starannie uszyte dla dzieci na kolonie letnie; w imieniu obdarowanych dziękujemy za ten dar nader pożądanym.

Łamigłówki swego utworu nadesłali: *Salamandra, Wróbelek, Ulan z Białej i Terkotka.*

Dobrze rozwiązali zadania. *Wróbelek, Wesoła Figlarka, Figlarna Filutka, Witek i Lutek Koj., Paproć leśna, Czerwona Makówka.*

Cieszę się, *Żabko Teterowska*, że tak pilnie się uczysz, tak uważnie słuchasz uwag kapłana podczas rekolekcyi. To też siejba Bożego słowa nie pada u ciebie na grunt nieurodzajny, jak mamy dowód w tem, że z własnej skarbonki przeznaczyłaś rubla na kolonie letnie.

Rada jestem *Janinko M.* że pośrednictwo moje wyjednalo ci prędką przesyłkę żądanych numerów dodatku powieściowego. Zapewniam cię przy tej sposobności, że nietylko nie obrażam się objawami poufałości waszej, ale są mi niezmiernie miłe jako dowód życzliwych waszych uczuć.

Dziękuję ci *Terkotko* za ułożoną dla mnie szaradę, pamięć uprzejmości twojej zachowam na długo, ale nie dowierzając sprytowi memu w rozwiązywaniu tego rodzaju zagadnień poruczę to Redakcyi.

Pokazuje się, że nietylko *Edyp* umiał rozwiązywać zadanie *Sfinksa*, ale i ty *Wesoła Figlarko* umiesz dokazać tej samej sztuki. Potrafiłam uwzględnić przyczynę, która nie dozwoliła ci dłuższego do mnie napisać listu, szanując bowiem prawa gościnności i wiem jakie są obowiązki uprzejmej w domu gospośi.

Ładną podróż odbyłaś *figlarna Filutko*, a z listu twego widzę, że zapamiętałaś z niej wiele ciekawych i pouczających szczegółów. My choć z natury jesteście ptakami wędrownymi i robimy nawet dalsze od twojej wycieczki, nie mamy obok siebie niestety, światłego i dobrego tatusia, któryby nam wskazał na co głównie uwagę zwrócić należy, a tem samem dużo mniej korzyści odnosimy z podróży. Pomyłkę twoją co do życzenia dodatkowych numerów będę się starała usprawiedliwić w obec Redakcyi, ale nie wiem, czy zaraz powtórnemu żądaniu twemu będzie można zadość uczynić.

Przyznać musisz *Wróbelku*, że między ptaszkami znajomość prędko się zawiązuje, a choć ród nasz ceni zalety uprzejmości i dobrego wychowania, choć zawadyakom potrafimy napędzić rozumu do głowy, obce nam formy częściej etykiety utrudniającej częstokroć stosunki między ludźmi. Skoro tedy oboje wiemy ile mają wartości stosunki towarzyskie na wzajemnej szczerości i delikatności oparte, nie możesz wątpić *Wróbelku*, że korespondencya z tobą w tym duchu prowadzona, przyjemną mi jest bardzo. Jedno tylko zastrzegam sobie kochany ptaszku, iżbyś nie był zbyt ciekawym. Ciekawość to nietylko pierwszy stopień do piekła, jak mówi przysłowie, ale przyczyna zamącająca przyjazne stosunki na świecie. Dlaczego chcesz koniecznie dochodzić osobistości istoty pragnącej zachować incognito swoje? Na nic ci się to nie przyda, a choćbyś z kolei kombinował i zestawiał wszystkie listery alfabety, domysłność twoja zawsze tym razem zawodną się okaże niczego więcej o mnie się nie dowiesz jak tylko, że jestem życzliwą dla wszystkich korespondentów *Wieczorów*:

Jaskółka.

OGŁOSZENIE.

P. Wiśniakowski mający skład pedagogicznych zabawek i gier dzieciennych przy ulicy Nowy Świat Nr. 8 wydał obecnie na *prima aprilis* żartobliwą cenzurkę pod tytułem: **Wyciąg z ogólnej księgi cenzur zakładu naukowego „Życie”** w którą posyłając ją komuś, wpisuje się imię i nazwisko osoby, wybitne jej wady lub zalety jako stopnie oznaczone odpowiednimi cyframi. Zabawka ta znajdująca się we wszystkich składach materiałów piśmiennych, powinna zastąpić w handlu, rażące smak estetyczny wydawane na ten cel bilety obrazkowe.